

Po ciężko przedzierającym się na poziom artystyczny „Panu Jowialskim”, teatr Wrocławski wystąpił z premierą „Panny Maliczewskiej” Gabrieli Zapolskiej. Zastrzeżenia przy tym spektaklu może budzić tylko jedna rzecz, a jest nią, omawiane szerzej w naszej prasie literackiej („Twórczość”) przed kilkoma miesiącami, zagadnienie, czy w ogóle sztuki Zapolskiej są obecnie na czasie. Może „Panna Maliczewska” posiada pewne wartości istotne, które nie straciły aktualności i w czasach dzisiejszych. Dotyczy to zapewne atmosfery I aktu, dotyczy nędzy mieszkaniowej, braku higieny i deprawacji etycznej i moralnej przedstawicieli kilku grup społecznych. Ale na tym właściwie akcie pierwszym i na tym, co widzimy bez rozumowania na scenie, kończy się aktualność tej, doskonale zresztą, zrobionej, sztuki teatralnej. Akty: II i III są niewątpliwym anachronizmem w stosunku do dzisiejszych czasów i dzisiejszych ludzi, a rzucone jako pointa ustami panny Maliczewskiej przez Zapolską ostatnie słowa w sztuce, oskarżające społeczeństwo o brak opieki nad młodymi dziewczętami, brzmią dzisiaj niemal komicznie. Każda panna Maliczewska ma dzisiaj — dzięki Bogu — tysiące sposobów, aby w demokratycznych warunkach naszego życia utrzymać się na powierzchni i to bez pomocy różnych Daumów, Boguckich czy innych „opiekunów”.

Tyle co do ideologii tej sztuki. Strona artystyczna przedstawia się w teatrze wrocławskim zupełnie dobrze. Sztukę reżyserowała Jabłonkówna. Firma znana, zdobywająca coraz lepszą pozycję. Znać u. niej upór i umiejętność w korzystaniu z najlepszych wzorów, znać reżysera, który ograniczył się nie tylko do montowania tekstu i nadawania rytmiki scenom, ale problemem dla niego stała się troska o zagadnienie plastyki, o malarskie rozwiązywanie przestrzeni. Stąd też dobre i tradycyjne dekoracje złąły się w całość z atmosferą wnoszoną przez ludzi, a „schillerowskie” światła miały swój sens i uzupełnienie w każdej ważniejszej scenie. Jedno tylko zawiodło reżyserstwo — to scena zbiorowa ze studentami. Nie wolno aż tylu nowicjuszy wpuszczać naraz na scenę, a grać „nieśmiałego” i „naiwnego” należy do wysokiego kunsztu aktorskiego. Reszta niemal bez zarzutu.

Specjalna uwaga należy się doskonalej parze wykonawców ról panny Maliczewskiej i Dauma. Bohaterkę grała młoda debiutantka w Poznaniu, Anna Jakowska. To, co widzieliśmy, świadczy o wielkim talencie, któremu należy wróżyć jak najlepszą przyszłość. Pomijając doskonałe przygotowanie głosowe cała praca techniczna tej artystki i niezwykle spokojne utrzymanie się w czystym realizmie budzić musi pełne uznanie.

Partnerem jej był pierwszorzędny i doświadczony aktor, Marian Godlewski. Potraktował on rolę „historycznie”. Jego Daum cuchnie starą kotarą, naftaliną i starym bezstylowym donżuanstwem. Godlewskiemu należą się gratulacje za samą sylwetkę i za pracę nóg, o której się ani nie mówi, ani, niestety, poza Schillerem, nie bierze pod uwagę.

Drugi z partnerów Jakowskiej — Bogucki, był grubo gorszy. Padł ofiarą modernizacji historycznego typka. Reszta — na dobrym poziomie — poza wyraźnie słabą rolę praczkę, Żelaznej.

Wokół teatrów we Wrocławiu i w Jeleniej Górze wytworzyła się w ostatnich miesiącach jakaś skomplikowana i bardzo niezdrowa atmosfera. Co jest istotną przyczyną tych pro i contra-Waldenowskich zapasów, nie mamy zamiaru roztrząsać. Zagadnieniem, które nas interesuje, jest to, aby ta niesłychanie ważna placówka kulturalna, jak teatr w stolicy Dolnego Śląska, dawała jak najwięcej i jak najwartościowszych ideologicznie i artystycznie spektakłów. Wszystko inne jest nieważne i można to sobie odłożyć jako prywatną przyjemność po „godzinach urzędowych”.

J. S.